

Renata Iwaniec

te miejsca

w końcu złapałam ołówkę i skrzydła
odleciałam pisząc na bilbordach dla innych
wyginałam kręgosłup jak kotka

na grzbietach murów
wszędzie było mnie pełno
roznościły się słowa jak dym po wybuchu

a wszystkie pierwiastki we mnie szeptały
nów nowy akwen obszar teren wszędzie
ciche nieznanne miejsca

w domu

miłość jest jak drzewo

wszystko zaczyna się od ziarenka
wilgoć i dotyk promieni
rodzi wątłą ścieżkę w sedno
otwartą na ogrom dorastania od wnętrza
zmysły puszczają się w drobnych gestach

aż mi zielono od emocji
łamiemy się w suchych nieporozumieniach
i tylko pragnę
wspiąć się na palcach po szczyt twoich ust

zakorzenie się po nici trafić
do serca – kolor przestaje mieć znaczenie
wszystko przystaje do rdzenia

drobiazgi są elastyczne
przetrwa tylko twarde stąpanie do celu
bujamy razem na gałęzi dotykając nieba

budujemy domek na drzewie
wbudowując małą przestrzeń z marzeń
tylko burza nas złamie

siedzę na pniu ścięta bez złudzeń
nie dojrzałam do wyrębu

przekrój dwóch planet

bo w tobie jest tylko księżyc
wspinam się po rozsianych gwiazdach do
które roztacza blask nie ciepło a złudzenie ^{światła}

pragnę dotknąć promieni
moja mleczna droga jest krainą mroku
drażny ścieżkę co błyszczy tylko w wyobraźni
ten sztuczny połysk
glanc przed – po zamydlenie

a jeśli mężczyzna to tylko noc
poświata w wilgotnej pościeli
rozsiwa ziarno
– światło rośnie w kobiecie

poprzestanie w przystani

słowa przestały mnie wypełniać
poprzestałam na zabawie na kilku
na kilka nie ma już miejsca

zaczęło się od niewyprasowanych
kurzu na stole dokładnie na wysokości ^{prześcieradeł}
bioder

gdzie posuwa się lub popycha
(teraz tylko szklankę albo talerz)

na gładkiej prostej powierzchni
pełnej od precyzyjności gdzie powinienam
postawić lub położyć bułeczki
z pęknięciem na środku

zaczął pojawiać się zygzak na sercu
niczym z kreskówek nie ruszał
mnie jego nie ruszał mnie mój
dotyk niczym szmer ołówka

odtwarzałam gestykulację i odgłosy
nic nigdy nie zaskrzyphiało
nie mówiliśmy o starości
wszystko było jasne jak księżyc w pełni

a słońce kołuze nas światłem

chciałabym wrócić i uwierzyć że ścięte
drzewa
są tylko płatami kory odlatują razem ^{z ptakami}
niczym pióra

opadają na ziemię jak twój dotyk na moim ^{ciele}
kiedy omiatasz mnie wzrokiem grasz dłońmi
jak dwa zaplątane wiatrem skrzydła

wchodziłeś w mój oddech a ja całowałam
twoje słowa rozcierałam na ustach
jak pył zebrany ze skrzydeł

poczułam w dłoniach cinę
podmuchał pudru unosił noc
by osiągnąć władzę nad księżycem

chciałam odpocząć w twoich oczach
z pewnością że nigdy nie opuścisz powiek

wszystko jest takie oczywiste

mija czas jak chmury na niebie
albo samochód za samochodem

czas nazywasz podstępna kurwą
rozmienniasz siebie na drobne
a on i tak ucieka jak dym między palcami
przepływa opływa
wyznaczasz kształt który nie jest tobą

światła mijania
i już masz to za sobą już minęło
opuściłeś – wszystko się zmienia
– tu ziemia

Zygmunt Dekiert

Nie oglądając się za siebie

Mosty popalone
Powroty pod znakiem zakazu

Pomruk morza złowieszczy
Rejs pośród raf zdradzieckich

Powietrze
granatem nieba przygożdżone

Lot chybotliwy
Połamane skrzydła

Płatanina dróg
Autostrady czernią wystraszone

Pod sandałem pielgrzyma
odkrywanie chrzestu prawd

Pieśń lasu

Muzyka wiatru
konarami dębów więziona
Nuty żołędzi
na dywanie mchu rozsypane
Paproc kluczem wiolinowym
otwiera psalm igieł – srebrny
Pieszczota błękitu
świerków strzelistością
Nagość brzoź bielą malowana
w ramionach sosen
głodnych przestrzeni

Błądzić w labiryncie ciszy
Ptakiem spłoszonym
krążyć nad oceanem
żywicznej zieleni
Pieśń piękna komponować
w zachwyty bezmiarze

Narodziny wiersza

Ciemność
to tylko chłodny oddech nocy
do chwili światła przebudzenia
Jasność
to uśmiech słońca
po czerwien widnokrepu szeroki

Noc...

Ty
wyśniona snem kolorowym
strącasz mrok w bezdennej przepaść dnia
Z promieni słońca bukiet układasz
by ogrzać moje dłonie
gdy wiersz Białą Damą
– zamiast snu